



Sepecik książek, czyli krótka rozprawa między Typografem, Historyczką i Wiślakiem



Arkadiusz Szaraniec nad Wisłą; fot. Filip Błażejowski



Autor:
ANDRZEJ TOMASZEWSKI,
typograf, poligraf,
promotor piękna książki,
członek Polskiego
Towarzystwa Wydawców
Książek.

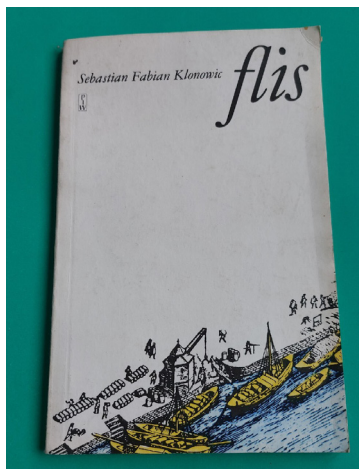
Arkadiusz Szaraniec: Dziękuję za prezent, *Flis* Sebastiana KLONOWICA, wydanie PIW z 1984 roku. Co to za sztych widnieje na okładce?

Andrzej Tomaszewski: To niewielki fragment XVII-wiecznego drzeworytu. Wybrałem go, bo przedstawia rozładunek książek we Frankfurcie nad Menem. Przypłynęły na słynne w Europie targi. Książki były spuszczone wodą, czyli spławiane rzeką na statkach, a spakowane w beczkach, które – jak widać na obrazku – przy pomocy portowego żurawia przeładowano już na ląd. Leżą na nabrzeżu w długim szeregu. Tuż obok była (i jest nadal) ważna ulica ówczesnych księgarzy: Buchgasse.

ASz: Wszystkie książki tak właśnie transportowano? Także w Polsce w XVIII wieku podczas spławu Wisłą „i inszymi rzekami do niej wpadającymi”?

AT: Tak, to była normalna praktyka, pakowano je w formie zadrukowanych i poskładanych arkuszy, ale szyto i oprawiano dopiero na miejscu. Właściciel oddawał druki do intrologatora, dlatego książki z tego samego nakładu miały indywidualne oprawy

Rozmowa z **ARKADIUSZEM SZARAŃCEM** (zm. 2020), teatrologiem, publicystą, tropicielem przyrody, autorem książek *Żubry lubią jeżyny* (Wyd. Czarne, 2018) oraz *Warszawa dzika* (Iskry, 2019). To nowo odkryty na przepastnym dysku komputera tekst zanotowany przez autora, który sposobił się do pisania książki o Wiśle i jej flisakach. Dyskurs zredagowany przez **AGNIESZKĘ DZIEWULSKĄ** i podany do druku dzięki uprzejmości „Wydawcy”. Partnerami rozmowy są **ANDRZEJ TOMASZEWSKI** i historyczka, której imienia dzisiaj nie znamy.



których forma i jakość zależały od zasobności kiesy czytelnika. W beczkach przewożono nie tylko książki i ogórki kiszzone, bo na przykład drukarze wozili w nich „czcionki, matrices i inne naczynia ku druku i laniu liter należące”. Beczki były dobrymi kontenerami na drobnicę, bo można było je turlać.

ASz: I jeszcze pytanie *à propos*: czy wiesz, skąd wzięło się popularne określenie „szmuctytuł” oznaczające we współczesnych książkach kartę pierwszą, zwaną przedtytułową?

AT: Przedmiot księgarskiego handlu, czyli blok składek (leg) nieoprawionej książki, na wierzchniej stronie pierwszej karty bywał często brudny – po niemiecku *schmutzig*. Obok odcisków brudnych palców i kleksów od wina, były tam notatki bibliopoli, specyfikacja leg, numeracje egzemplarzy itp. Po prostu brudny brudnopis. Dzisiejsze książki w nakładowych oprawach mają więc poprzedzający stronę tytułową szmuctytuł, *nota bene* całkiem czysty.

ASz: I tu muszę opowiedzieć o przyczynie, czy raczej pretekście naszego spotkania. Jeżeli książki jako towar przewożono w drewnianych beczkach, to w takim razie jak należy rozumieć zapis, jaki znalazłem w rejestrach wiślanego spławu, opracowanych i cytowanych przez SZYMONA KAZUSKA? 1766 rok – urzędnik w spisie towarów uwzględnił przedziwną pozycję: „sepecik książek”. Wychodzi na to, że to była prywatna własność jakiegoś pasażera. Raczej nie flisa czy oryla. Może retmana albo frochtarza? A może przesyłka specjalna, podobna tej, jaką dziś przekazuje się konduktorowi w pociągu? Jakie tytuły tam mogły być? Może właśnie *Flis*, który sobie ktoś wziął jako lekturę i przewodnik po Wiśle?

AT: *Flis* chyba nie. Pierwsze i drugie wydanie poematu w drukarni ariańskiej SEBASTIANA STERNACKIEGO w Rakowie ukazały się w latach 1595 i 1598, następne drukował w Warszawie JAN TRELIPIŃSKI w 1643 roku, a kto bierze ze sobą w podróż ponad stuletnie książki? A i teraz, kto czyta takie ramoty jak renesansowe poema KLONOWICA?

ASz: Ja, bo to jest bardzo wierny opis Wisły, prawdziwy, choć wierszowany, drobniawo napisany, z werwą, a i poczuciem humoru, realistyczny reportaż, który Klonowicz oparł na własnych naocznych obserwacjach. A jeśli chodzi o bieg Wisły i brzegi, jej charakter, to jednak wiele – o dziwo, pomimo upływu wieków – pozostało bez zmian. Ale wróćmy do owego sepeciku i puśćmy lekko wodze fantazji, nie trzymajmy się ściśle daty jednego roku, weźmy szerszy nawias czasowy. Może to był młody zubożały szlachcic udający się w świat albo do bogatego krewnego lub z listem polecającym i prezentem do kogoś na dworze króla Stasia?

AT: Tak, w tym czasie dwór Poniatowskiego, świeżo koronowanego władcy, był czymś wyjątkowym na tle całej Polski, kiedy to jeden z czołowych warszawskich drukarzy oświeconych, MICHAŁ GRÖLL, zastanawiał się poważnie, czy jednak nie zwijać inte-



Abb. 138. Der Buchhändler.

Pakowanie oprawionych książek do beczki (grafika z epoki)

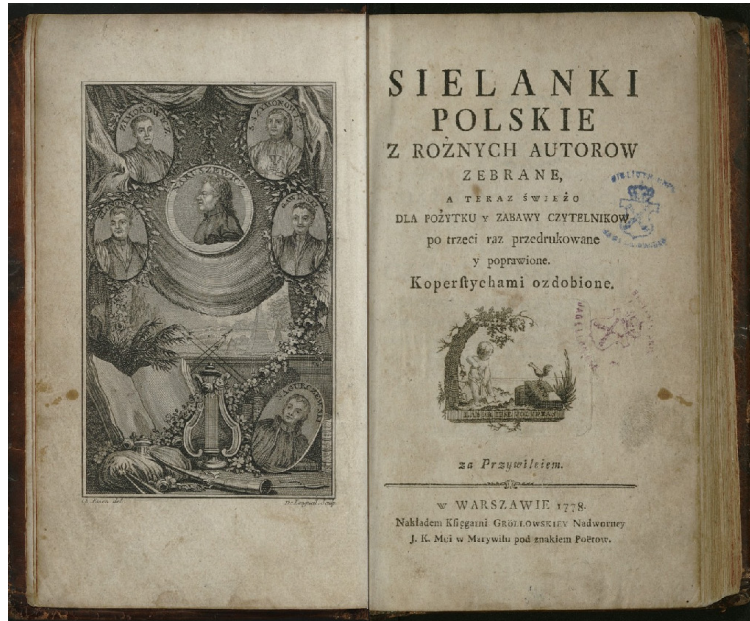
resu, a w Krakowie do cna scholastyczna Alma Mater – Uniwersytet Jagielloński – wydawał rozprawy teologiczne, wobec których rozważania o liczbie diabłów na końcu szpilki są wyżniami odkrywczego intelektu. Tak więc „nasz” globtroter mógł też mieć *Młot na czarownice*.

ASz: Wiara w duchy – o czym pisał w pamiętnikach KARPIŃSKI – była wtedy powszechna, dla czytelników MICKIEWICZA świat nadnaturalny był oczywistą częścią rzeczywistości. A może podróżny korzystający z drogi wodnej, jaką była Wisła, podążał na targi książki do Torunia, bo już wtedy takie w tym mieście były. Albo to był jakiś bibliofil czy też młody drukarz, czeladnik, który, ucząc się fachu – jak nakazywała dawna, renesansowa jeszcze tradycja – podróżował z miasta do miasta, z oficyny do oficyny, kształcąc się jako terminator u mistrzów drukarstwa, ale i u złotników, jak „rezać puncony”, czyli wykonywać stalowe stemple do wybijania liter w matrycach giserskich.

AT: Z wędrownymi czeladnikami drukarstwa to prawda, ułożyłem małe kompendium na ten temat.

ASz: Giserzy czcionek w dawnej Polsce.

AT: Przemierzali Europę; szlaki ich podróży jak i sama tradycja, wędrówka pomysłów, rozwiązań technicznych i plastycznych inspiracji to ciekawe zjawisko. Natomiast czytelnicy w podróż, często



Sielanki Polskie, nakładem Księgarni Gröllowskiej, 1778.
(źródło: CBN Polona)

wielodniową, udawali się naonczas z biblioteczką podróżną, a w niej różne książki być mogły.

ASz: Zachowała się jedna taka w zbiorach Biblioteki Narodowej, ale to jest cała zdobiona szafka, i to całkiem ciężka [Ta z BN nie jest lekka, ale to właśnie taki „sepet” udający opasły wolumin oprawny, a mieszczący wewnątrz biblioteczkę miniaturowych książek – przyp. AT]. Taką miewali magnaci, którzy jechali z licznym orszakiem, karocą, z podwodami. Radziwiłł zabierał piec chlebowy na kołach, bo cudzoziemskiego pieczywa nie jadał. A tu mamy mały sepecik. Bagaż podręczny, starannie dobrany. A w nim co... kodeks VOYNICHA?

AT: O, nie, takie rzeczy leżały w skarbcach, głęboko schowane. Natomiast – jeśli trzymamy się motywu pięknej książki – to ten umysłny posłaniec albo wędrowny bibliofil mógł mieć lub też wieźć komuś w prezencie książkę uznawaną za najpiękniejszą polską książkę XVIII wieku, a mianowicie *Sielanki polskie*.

ASz: Stąd się wzięło „Sławianie, my lubim sielanki”?

AT: To jest akurat małego, poręcznego formatu dziełko, całkiem nadatne do wzięcia w podróż, schowania w małym sepeciku. Może właściciel, usadowiwszy się w malowniczej pozie, czytał ulubione fragmenty, napawając się widokiem nadwiślańskich pejzaży. Panowała wtedy taka moda na czytanie w plenerze modnych dzieł, głównie romansów. ROUSSEAU mącił w głowach, ale i tworzył nowe pozy, wzorce zachowań obowiązujące w dobrym towarzystwie. Wielkie damy pasały owieczki, przewiązane wstążeczkami, ale tylko w parkach pałacowych, które urządzano z wielkim nakładem kosztów. Sielanki były wynikiem tego trendu, europejskiej mody.

ASz: Skąd się pojawiły, skąd mogły przypląć i dokąd podążać owe tak pięknie wydane *Sielanki*?

AT: Nadwornego drukarza króla Stasia, MICHAŁA GRÖLLA (tego, który w pewnym momencie chciał związać interes) namówił na tę romantyczną inwestycję z rozmachem sam generał ziem podolskich, książę MICHAŁ CZARTORYSKI. Utwory różnych poetów – w tym dwóch SZYMONÓW: SZYMONOWICZA i ZIMOROWICZA, JANA GAWIŃSKIEGO, ADAMA NARUSZEWICZA – już były napisane i czytane wcześniej, więc zebrano je, dodawszy tłumaczenia (często dość swobodne) innych, nawet obcych autorów. I dodano ilustracje – aż osiem, na wkłękach, dzieło wielkiego rysownika CHARLESa EISENA.



Sielanki Polskie, zbiory: CBN Polona

ASz: Czy on przebywał w Polsce i zdykował widoki z natury? Polskie pejzaże, skoro sielanki były polskie...? Może i nadwiślańskie?

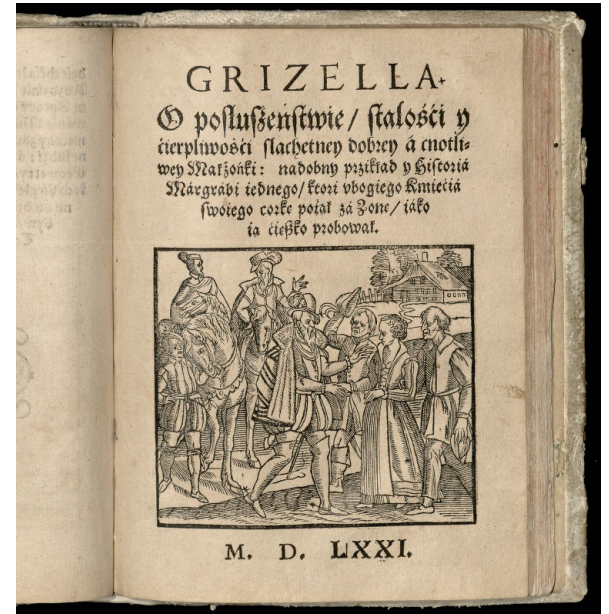
AT: A skąd, prosto z Paryża, ale po jakiej kampanii! W Paryżu studiowała grupa bardzo utalentowanych młodych ludzi, był pomiędzy nimi także TADEUSZ KOŚCIUSZKO (którego postrzegamy tylko jako późniejszego naczelnika państwa, a to była niezwykle osobowość, o rozlicznych, nie tylko wojskowych i inżynierskich talentach). Oni właśnie, zaprzyjaźnieni z Eisenem, artystycznym celebrytą epoki, namówili go do zilustrowania powstającego dzieła, ale jako podstawę, punkt wyjścia, przygotowali własne rysunki i projekty, które w rezultacie, trzeba przyznać, przemysłnie budują architekturę książki. Rysunki Eisena trafiły do rąk Czartoryskiego...

ASz: ...można rzec, że nie tylko pomysłodawcy, ale i „reżysera” dzieła...?

AT: Tak. Książę, wielki pan i arystokrata ducha, był obdarzony dobrym smakiem. Po poprawkach (szkoda, że nie wiemy, jakich) zatwierdził rysunki, które trafiły do warsztatu równie sławnego i wziętego rytownika JOSEPHA DE LONGUEIL, który je wysztychował z wielką maestrią, dbałością o najdrobniejsze szczegóły, z klasą, jaka i teraz budzi podziw. Gotowe miedziane płytki pojechały do Lipska i tam, w swojej drukarni i na najlepszym hollenderskim papierze, odbił je JOHANN GOTTLÖB IMMANUEL BREITKOPF. Można użyć porównania, że jakby na wzór modnych wtedy epistolograficznych powieści, właśnie korespondencyjnie powstało małe wielkie a piękne zbiorowe dzieło wielu ludzi. Pamiętka po panowaniu wielkiego mecenasa sztuk i nauk wszelakich, a małego (jak niektórzy podkreślają) władcy, którego panowanie i życie wcale nie było sielanką, ani dla Rzeczypospolitej Obojga Narodów, ani dla niego samego. Europa była wtedy całością, bez granic intelektualnych, przynajmniej dla elit. Ale jakby wziąć pod uwagę, co w drugiej połowie XVIII wieku drukowano w Polsce całej, zwłaszcza w miastach nadwiślańskich...

ASz: O, nie, Wisłą wtedy, w XVIII wieku, jako i wcześniej, płynęło wszystko, czego dusza zapragnęła. I z Polski, i do Polski, z Europy i do całej Europy. Frochtarzami – armatorami organizującymi spław towarów byli ludzie mieszkający nawet dwieście kilometrów nie tylko od Wisły, ale i od najbliższej rzeki. Historyk teatru, szekspiolog JAROSŁAW KOMOROWSKI ma „morską chorobę”, zbiera fotografie rzeźb przy fontannach, przedstawiających Neptuna oraz różne morskie boginki, ale jakimi są usiane miejscowości położone hen, w głębi lądu. Ludzie czuli więc z morzem, światem, bo z Bałtykiem łączyły ich interesa handlowe, często prowadzone przez kilka pokoleń. A jeśli chodzi o Kresy Rzeczypospolitej, to częstym towarem stamtąd sprowadzanym był np. safian słucki ze Słucka, gdzie też powstawały najsłynniejsze pasy kontuszowe, jakie znała i miała cała polska szlachta. Więc i książki też mogły stamtąd wędrować po Polsce i potem po Europie, jak i w odwrotnym kierunku.

AT: Jeśli Kresy to i Lwów. I tu mamy jaskrawe zderzenia: Bractwo Świętej Trójcy wydawało druki religijne, ale trafiały się też pomiędzy nimi takie cymelia, jak przeróbka z BOCCACCIA *Historia Gryzeldy o wierze małżeńskiej* i pismo polityczne kanclerza

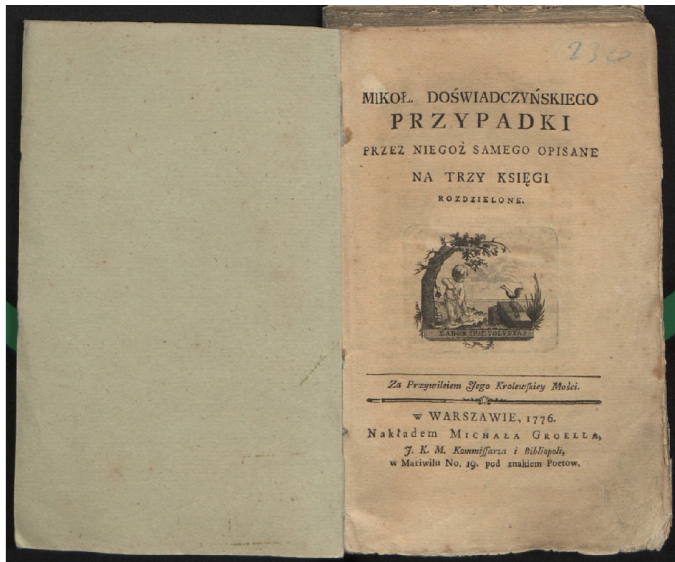
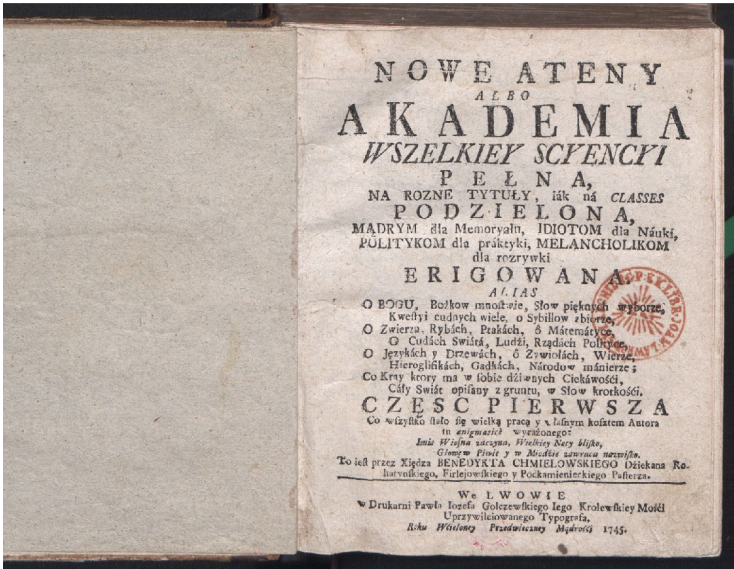


Grizella. O posłuszeństwie / stałości i cierpliwości szlachetnej dobrej a cnotliwej Małżonki nadobny przykład y historia Margrabi iednego / ktori vboiego kmiecia swiego corkę poiał za żonę / iako ią ciężko probował (wyd. 1571 r.; starodruk z zasobów Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej – domena publiczna)

JANA STEFANA JABŁONOWSKIEGO o przewrotnym tytule *Skrupul bez skrupułu*, który pasowałby do artykułu w XXI wieku.

ASz: Lwów był wielokulturowy, prężny, bogaty, przez to miasto przebiegała istna ówczesna trasa W-Z, „Wschód-Zachód” i Rzpłitej, i całej Europy. Ale może nie trzymajmy się ściśle jednego 1766 roku i poszukajmy też szerzej różnych smaczków księgarskich w drugiej połowie XVIII wieku. Skoro do Warszawy, „Paryża Północy”, ściągnął sam CASANOVA i sławny mag alchemik CAGLIOSTRO, i aeronauta BLANCHARD...? Poszukajmy ich odpowiedników w książkach. Uwodzieńca i awanturnik, bohater głośnego pojedynku z  do tego arcyszelma pierwszej wody, alchemik oszust (w Warszawie zde-maskowany), ale też „żeglarz napowietrzny”, pionier nauki – znajdzie się chyba coś dla każdego, czyli ich polskich sobowtórów, których wszak nie brakowało.

AT: Epoka ciekawa, wiele się działo, choć ja sam stanowczo wolę XVII wiek. Ale wracając do drugiej połowy XVIII stulecia – to tak, do tego amalgamatu przeróżnych składników, i racjonalnego Oświecenia, i początków romantyzmu, wielkości i upadku Rzeczypospolitej, i takichże ludzi „od Sasa do Lasu” (bo dziedzictwo Sasów stale daje znać o sobie) pasuje kilka szczególnie ciekawych a skrajnie różnych pozycji.



Źródło: CBN Polona

ASz: O, na przykład mogła to być książka kucharska. *Kucharz doskonały*, wydana za panowania Sasów, tak niezwykle popularna i ważna, że zapisywano ją w spadku, a do dziś zachowało się niewiele egzemplarzy, bo zostały zacytane na strzępy, zjedzone przez czas. Pisał o niej Adam Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*, kiedy to Wojski zaczyna przygotowywać uroczysty obiad.

AT: Porzekadło „Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa” miało swoją godną oprawę.

ASz: GLOGER dodaje jeszcze: „Za króla Sasa łyżką kielbasa”.

AT: I za panowania Sasa wtórego, Augusta III, we Lwowie w 1745 roku wyszła część pierwsza tezauryusa *Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej scjencji pełna* BENEDYKTA CHMIELOWSKIEGO.

ASz: „Koń jaki jest, każdy widzi”. Reszta nie była taka lakoniczna, autorowi dowcip wyszedł mimo woli, a jego *Ateny* to zbiór powierzchniowej niby-wiedzy, podobny w charakterze do kunsztownych a pustych oracji, które były głównymi skutkami kształcenia w klasztornych konwiktach.

AT: Lwowscy jezuici kolejne części dodawali aż do 1756 roku. Nasz podróżnik mógł jedną z nich posiadać, miały długi żywot, jak stare kalendarze, które reprezentowały ten sam poziom wiedzy o świecie. A kto wie, może *Ateny* leżały w sepeciku obok dzieła też duchownego, i to biskupa, ale jakże innego człowieka, Europejczyka o szerokich horyzontach – IGNACEGO KRASICKIEGO, autora nie tylko świetnych satyr, ale i pierwszej powieści science-fiction *Mikolaja Doswiadczynskiego przypadki*, bardzo śmiałej i nowoczesnej jak na owe czasy.

ASz: A i teraz jej fragmenty dobrze się komponują w antologiach polskiej prozy fantastycznej.

AT: Jeszcze większą niespodzianką może być – uwaga! – pierwszy polski podręcznik na temat elektryczności: *Zadania z fizyki o własnościach elektrycznych* z 1775 roku.

ASz: ???

AT: A tak! Do tej pory uważano, że pierwszą książką na ten temat w języku polskim wydrukowaną na naszych ziemiach była rzecz SCHEIDTA *O elektryczności uważanej w ciałach ziemskich i atmosferze*, wydana w 1786 roku w Krakowie...

ASz: A ta pierwsza?

AT: Wyszła w Supraślu, na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego.

ASz: W małym Supraślu?

AT: Teraz małym, ale wtedy jakże ważnym. Ojcowie bazylianie tamże przez ponad wiek, od 1695 roku aż do kasaty w 1806 roku, drukowali dewocjonalia unickie i ruskie, kalendarze, modne „romanse” i „awantury”.

ASz: Ojcowie bazylianie...?!

AT: Owszem, to byli fachowcy, wiedzieli, na czym się zarabia. Dlatego obok takiej nowinki jak podręcznik fizyki ich sumptem wyszła niezmiernie popularna książka kucharska, poradnik BIRETOWSKIEGO *Wiadomość ciekawa każdemu wielce pożyteczna o skutkach i mocy zboż wszelkich, jarzyn i ziół różnych tak ogrodowych jako i polnych, jakie skutki i pożytki przynoszą człowiekowi w różnych okolicznościach, osobliwie na poratowanie zdrowia służąca* z 1774 roku. A obok, po litewsku, *Żywot św. Bonawentury*.

GEDEON KOZUBSKI, ihumen klasztoru bazylianów w Poczajowie pozazdrościł supaskim braciom wydawniczych sukcesów. W 1730 roku założył oficynę drukarską. Sprowadził z Kijowa gisera czcionek, ale nie mając dostatecznej ilości materiału, kazał zdjąć z cerkwi ołowiany dach i przetopić na czcionki.

ASz: I dla ducha, i dla ciała. I dla artystów – ha!, teraz już wiem, pewnie którąś z tych książek posłużył się sam WOJCIECH BOGUSŁAWSKI, jako inspiracją i źródłem super efektu w *Cudzie mniemanym*, gdzie machina elektryczna poraża i w końcu godzi tytułowych krakowiaków i górali. Przynajmniej na scenie, pierwszy raz w 1794 roku, na deskach Teatru Narodowego przy placu Kasińskich...

AT: I dla mistyków też coś się znalazło. Na Kresach, w Żółkwi działała przez ponad dwa wieki największa żydowska oficyna w Rzeczypospolitej. Prowadzili ją wnukowie URIEGO FAJWUSZA z Amsterdamu. Była więc ta miejscowość rodzinna rodu Sobieskich prawdziwą „stolicą kabały”. Od 1600 do 1800 roku wydrukowano aż 588 tytułów. Właśnie tam ukazała się niezwykle ważna księga *Chemdat ha-jamim (Wspaniałość tych dni)* z 1746 roku, we trzech woluminach, wielce popularna wśród polskich chasydów, a wedle rabinackich ortodoksyjnych kanonów – bardzo heretycka.

ASz: Czyli Golem mógł się narodzić w Żółkwi, a nie Pradze?

AT: *Chemdat* w samym XVIII wieku miała aż szesnaście wydań w różnych miejscach.

ASz: W jakich ośrodkach? Gdzie i dlaczego powstały?

Historyczka: Początki działalności wydawniczej Żydów na historycznych ziemiach polskich datuje się na pierwszą połowę XVI wieku – najstarsze warsztaty drukarskie powstały w Kazimierzu pod Krakowem (1534) oraz w Lublinie (1544–1682). Dzięki korzystnym decyzjom administracyjnym, przychylniej cenzurze biskupiej oraz przekonaniu magnatów, że założenie drukarni przynosi wiele korzyści (np. wpływa na znaczenie gospodarcze miasta, umożliwia produkcję na eksport, przyczynia się do oświecenia mieszkańców, zwiększa dochody) w XVII i XVIII wieku pojawiały się dziesiątki nowych wydawnictw w Białej Cerkwi, Białozorcach, Bogusławiu, Braclawiu, Dubnie, Dubrownie, Korcu, Międzybożu, Międzyrzeczu, Mińkowie, Ostrogu, Połonnem, Porycku, Radziwiłowie, Szklowie, Sławucie, Sudyłkowie, Zasławiu i innych miejscowościach. Mimo to, aż do XIX wieku ich produkcja wydawnicza nie mogła konkurować z bogatą ofertą książek importowanych na potrzeby ludności żydowskiej w Rzeczypospolitej.

ASz: Import? Wisła mogła w tym odegrać ważną rolę, w docieraniu do odbiorców i łączeniu przeróżnych ośrodków.

H: Eksport-import. Książki płynęły w obu kierunkach. Istotną rolę w europejskim handlu książką odegrali właśnie polscy edytorzy, drukarze. Utrzymywali oni ożywione kontakty ze wszystkimi znaczącymi firmami księgarskimi w Europie. Pod koniec XV wieku i w XVI wieku na straganach krakowskich, poznańskich, lubelskich można było kupić książki drukowane we Włoszech, Francji, w Szwajcarii, Holandii, Niemczech... Z kolei polskie druki znaleźć można było we wszystkich krajach Europy. Ekspediowano je drogą morską przez Gdańsk lub lądową przez Wrocław.

ASz: W rejestrach spławnych znajduję pozycję „księgi żydowskie” i to sporej wartości, kilkunastu tysięcy złotych polskich. Jakie to mogły być pozycje i skąd ich obecność? Nie mogły być drukowane na terenie Rzeczypospolitej?

H: *Habent sua fata libelli...* [pol. Książki mają swoje losy]. Te dzieje, jeśli chodzi o druki hebrajskie, były bogate, często burzliwe, miały swój własny rytm. Restrykcyjne rozporządzenia żydowskiego Sejmu Czterech Ziem dotyczące druku książek przyczyniły się w drugiej połowie XVII wieku do upadku oficyn hebrajskich działających na terenach Rzeczypospolitej. Około 1685 roku żydowski Sejm Czterech Ziem, naczelny organ samorządu żydowskiego w Polsce, wydał całkowity zakaz druku książek żydowskich. Zakaz został wydany, ponieważ rabini, którzy tworzyli ten sejm, chcieli zapobiec rozprzestrzenianiu się ruchu mesjańskiego pod wodzą Szabtaja Cwi, którego wielu Żydów uznało za mesjasza.

ASz: Udało się?

H: Jak zwykle: nagle i ostra cenzura wobec silnego, licznego zjawiska natychmiast tworzy drugi obieg. Polscy Żydzi książki na swoje potrzeby zaczęli drukować za granicą, głównie w Amsterdamie. W oficynach amsterdamskich pracę znaleźli również drukarze, korektorzy i zecerzy z Polski – JEHUDA BEN MORDECHAJA z Poznania oraz bracia JAAKOW i AWRAHAM CWI z Krakowa. W sumie około stu osób z Polski pracowało przy druku książek. Powstała nawet w Amsterdamie osobna polska gmina żydowska, która działała przez lat kilkanaście. Oficyny amsterdamskie rozpoczęły tłoczenie książek na zamówienie polskich Żydów. Amsterdam od drugiej połowy XVII wieku zaczął pełnić funkcję światowego centrum drukarstwa żydowskiego. Transporty książek hebrajskich Wisłą były zatem naturalną drogą pozyskiwania literatury dla Żydów. Można puścić wodze fantazji i wyobrazić sobie, że w roku 1765 przewożono w beczce na przykład egzemplarze książki JEHUDY MARKUSA LEVIEGO *Die Säulen des Hauses Jehuda, welche der Tugend und dem Gottesdienste errichtet sind. Verfasst von dem kleinsten der Leviten aus der Familie Hurwitz Dr. Med. in Wilna* (Amsterdam, Leib Susmann, 1765, 80, kart 78). Jest to ważne polonicum, opisane przez KAROLA ESTREICHERA w *Bibliografii polskiej*.

ASz: Było ich więcej?

H: Oczywiście.

ASz: Do tej pory na dźwięk nazwy Amsterdam widziałem w wyobraźni szlifierzy diamentów

i słyszałem song BRELA. Teraz widzę stada ksiąg, które stamtąd wyfruwają i wędrują lądem i wodą, przez całą Europę, wokół kontynentu, by dotrzeć na tereny Rzeczypospolitej Wielu Narodów – i kultur. Kim był autor? A drukarz-wydawca?

H: Czasem to była jedna i ta sama osoba.

ASz: A ten autor, Levi Jehuda Markus?

H: Zanim zmarł w 1797 roku, studiował medycynę w Padwie, skąd zawędrował na Litwę, do Wilna.

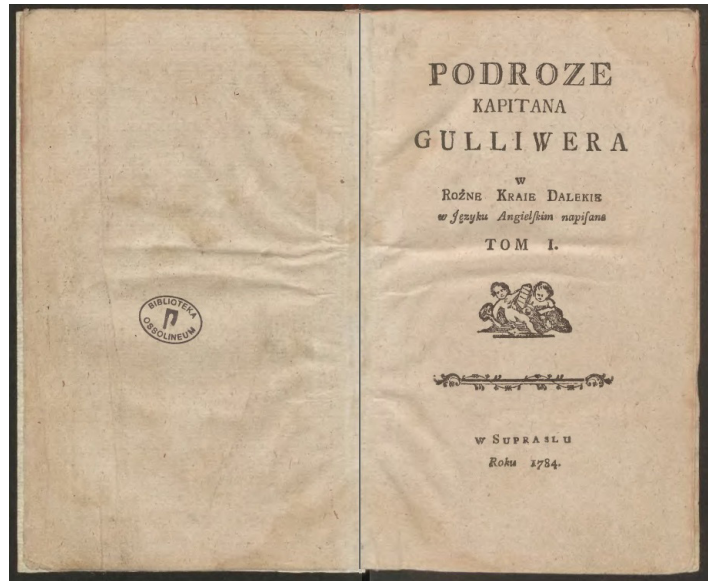
ASz: Jerozolimy Północy...

H: I ludzie, i książki wędrowali przez całą Europę. „Nasz” autor żył i pracował także w Grodnie (gdzie umarł), ale nie była mu obca Kurlandia i wiele innych miast z tamtej strony Bałtyku i krańca ziem Rzeczypospolitej.

ASz: Czy „księgi żydowskie” – jak podaje ów rejestr – to też były beczki pełne kart?

H: Tu zacytuję Wikipedię prawie słowo w słowo: otóż od prawie dwóch tysięcy lat beczki są wygodną formą przewozu i przeładunku przy zapewnieniu niskich kosztów. Można w nich transportować wszystkie towary masowe. Zastosowanie worków czy skrzyń jest tańsze, lecz trudniejsze w przeładunku, bowiem nawet dosyć duże i ciężkie beczki mogą być przetaczane po ziemi nawet przez pojedynczego człowieka, gdy tymczasem do transportu podobnej wielkości skrzyń potrzeba albo kilku ludzi, albo dźwigu.

ASz: Jak ten frankfurcki, który widzimy na okładce Flisu? [patrz pierwsza strona artykułu – red.].



H: Albo i żuraw w Gdańsku, i wiele innych w każdym porcie. A co do sepecika... Nie wiem, znane są biblioteczki podróżne (wielkości ok. 50–60 x 50–60 cm), w których przewożono miniaturowe tomy literatury podręcznej. Jest taka biblioteczka między innymi w Muzeum w Wilanowie czy Bibliotece Narodowej, a i u nas w BUW – z XIX wieku. Należały one do arystokracji i towarzyszyły właścicielom podczas podróży karocą, a nie statkiem po Wiśle. Zawartość owych biblioteczek stanowiły głównie książki w języku francuskim, powieści itp. W sepeciku trzymano często klejnoty, różne przybory, dokumenty luźne (a może notatki, rękopisy?), czasami nawet herbatę.

ASz: Nawet i kawę, która była tak popularna w XVIII wieku. Teraz widzę i czuję inny obraz: właściciel sepeciku budzi się o świcie, zziębnięty udaje się do paleniska na łodzi (było na każdej tratwie czy większej jednostce) lub na lądzie, zalewa kawę w swoim kubku, czerpie wrzątek z kociołka nad ogniem, krzywiąc się od dymu, który szczypie go w oczy, następnie pospiesznie siorbie, parząc wargi, i otulając się płaszczem, w pierwszych promieniach wstającego słońca czyta ulubiony fragment książki, którą miał na wierzchu.

H: Skąd to przypuszczenie?

ASz: Sam tak robiłem.

AT: A jeśli wodą podróżował ów tajemniczy podróżny, kto wie, może i do Gdańska, i w podróż morską się udawał, to nawet jakby wiem, co on wtedy mógł czytać...

ASz: Co?

AT: Pierwsze polskie wydanie Swifta *Podróże kapitana Gulliwera*, wyszło w 1784 roku ...

ASz: W...?

AT: W małym, ale jakże ważnym Supraślu, gdzie dziś znajduje się muzeum drukarstwa.

ASz: A ja może nawet i wiem, jak ta książka trafiła z tego Supraśla na Litwę w ręce onegoż NN.

AT & H: ???

Podróże kapitana Gulliwera..., Supraśl 1784 (źródło: Donośląska Biblioteka Cyfrowa)

ASz: Przez Supraśl płynie mała rzeka, ale wtedy spławna, bo to dopływ Narwi – a tą rzeką pływały wszelkie statki a skutury, tratwy, odubasy grzeczne, co woziły wszystko co trza z Litwy, aż do Wisły, a niąż aż do pała.

AT & H: Dokąd?

ASz: Czyli do Gdańska, tak mawiali flisowcy – a i do Krakowa. I tak Guliwer trafił gdzieś na stragan krakowski, tam NN otworzył, rzucił okiem i – przepadło. Wszystko przez tę Wisłę...

AT & H: I przez te książki.

* *



Sepecik pani Bentkowskiej. Zbiory Muzeum Łazienki Królewskie

Deliberacje Andrzejowe

Po owocnym spotkaniu w kawiarni przy placu Na Rozdrożu Arkadiusz zadał mi pracę domową. Miałem sporządzić wiarygodny opis podróży sepecika. Postaci JULIANA URSYNA NIEMCEWICZA i SAMUELA BOGUMIŁA LINDEGO doskonale wpisywały się w imaginowaną opowieść. Zacząłem więc od poszukiwań źródłowych, w trakcie których natknąłem się na niżej opisane informacje, m.in. w tekście MARIANA PTASZYKA *Czy Linde był jakobinem?* („Folia Toruniensia” 2008, t. 8).

Linde napisał o swym udziale w powstaniu kościuszkowskim: „W roku 1794 puścił się [z Saksonii] za IGNACYM POTOCKIM do Warszawy, gdzie pomimo krążącej koło stolicy burzy wojennej oddawał się raz przedsięwziętej koło słownika pracy, pożytkując z znajdującej się tam w ów czas jeszcze Biblioteki Żałuskich, z bibliotek pijarskich, z obcowania z sławnej pamięci KOPCZYŃSKIM i DMOCHOWSKIM. Na końcu tego w dziejach Polski pamiętnego roku udał się do Wiednia...”.

Informacja jest zgodna z zapisami zamieszczonymi w *Zdaniu sprawy z całego ciągu pracy* (w ostatnim tomie *Słownika języka polskiego*). Z kolei w życiorysie, który przedstawił na posiedzeniu Wydziału Nauk i Sztuk Pięknych Uniwersytetu Warszawskiego 1 kwietnia 1818 roku, Linde napisał: „W samych pierwiastkach powstania narodowego udawszy się do Warszawy”. Wyruszył zatem do Polski na wieść o wybuchu powstania po wyjeździe 8 kwietnia Ignacego Potockiego do Krakowa.

Natomiast w pisanym po latach *Pamiętnikach czasów moich* Julian Ursyn Niemcewicz zanotował, że przybył z emigracji do Krakowa po bitwie pod Szczekocinami [czyli w czerwcu] i razem z innymi, między innymi z Lindem, popłynął tratwą do Kazimierza, skąd udał się do obozu Kościuszki. Linde zaś popłynął dalej do Warszawy.

W Wikipedii napisano, że Linde „od jesieni roku 1792 rozpoczął współpracę z przebywającymi w Saksonii na emigracji zwolennikami obalonej Konstytucji 3 maja, m.in. tłumacząc na język niemiecki *Powrót posła i Biblię targowicką* Juliana Ursyna Niemcewicza, *O powstaniu i upadku Konstytucji 3 maja 1791* HUGONA KOŁŁĄTAJĄ, IGNACEGO POTOCKIEGO i FRANCISZKA KSAWEREGO DMOCHOWSKIEGO. Przekłady tych dzieł ukazały się w Lipsku w latach 1792–1794” [druk: Breitkopf & Härtel].

W moim mniemaniu możliwy jest następujący scenariusz:

Sepecik był własnością Niemcewicza. Z Krakowa do Kazimierza płynęli tratwą razem – Linde i Niemcewicz. Od postoju w Kazimierzu, gdzie Niemcewicz wysiadł i udał się do obozu Kościuszki pod Połańcem, Linde miał pod opieką sepecik z polonikami drukowanymi w Lipsku u Breitkopfa. Leksykograf podjął się dostarczenia książek do domu pisarza. Wysiadł na przystani w Wilanowie, skąd Ursynów miał bardzo blisko. Dostarczył książki do dworu na Ursynowie, a sam pojechał do Biblioteki Żałuskich kontynuować pracę nad *Słownikiem języka polskiego*.



Julian Ursyn Niemcewicz (źródło: CBN Polona)